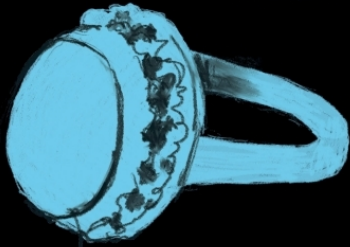


Jeremi Bożkowski



Dziękuję,

wolę

ESTYMATOR 

więzienie

Jeremi Bożkowski

DZIĘKUJĘ, WOLEŃ WIĘZIENIE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-21-0

Copyright (C) Antoni Więcko i Karolina Szafert

Projekt okładki: Olga Bołdok

Jeremi Bożkowski to pseudonim literacki Bożeny Ciecierskiej-Więcko. Niniejszy tekst został ukończony w 1985 roku. Pochodzi z archiwum rodzinnego Antoniego Więcko – męża autorki. Nie był dotychczas nigdzie publikowany.

Wyszli ostatni goście. Świt wstał szary i mętny, śmierdziało petami zgaszonymi w nieopróżnionych talerzach. Wokół stołu, na stole, w kawiorze i w bigosie, na dywanie i na kanapie lśniły rozsypane perły Asi, kierowniczkę śródmiejskiej „Desy”. Szarpnięte, rozdarte namiętym gestem przez Andrzejka z firmy polonijnej. Halina wzięła do ręki jedną z nich.

– Fałszywe – pomyślała – prawdziwe wyjmowałyby nawet zębami z zarzyganych talerzy.

Ten gest Andrzeja był tak samo fałszywy. Nie chciał przecież od Asi pereł ani cnoty. Chciał zezwolenia na wywóz, które ona mogła załatwić. Ale Andrzej nie wiedział, że „kochaś” od zezwoleń już odpłynął w siną dal.

Halina zebrała talerze, sprawdziła, czy żaden nie uszkodzony. Ta porcelana jest niepowtarzalna. Zdżicho nie ma już interesów w tamtej stronie świata.

Wszyscy wyszli stąd obżarci i napici. Większość załatwiła swoje sprawy erotyczne i zawodowe. A więc będą zadowoleni. I wdzięczni.

Tylko Zdzisław nie załatwił nic. Spił się chyba na samym początku. Siedział i coś mamrotał. Błady, sztywny, jak kołek. Przez pół dnia wbijała mu w głowę, że ma obskoczyć redaktor Kopalską. Że o niczym innym nie musi myśleć. Redaktor była bezkompromisowa. Oczywiście na rozkaz. Ale ten rozkaz mógł nadejść lada chwila. W kryzysie każdy zakup może okazać się błędem, a zakup dolarowy – sabotażem. To słowo dawno wyszło już z mody, ale Halinie wydawało się, że wraca.

– Wstań do cholery! – wrzasnęła wściekła, patrząc jak mąż pochyla się bezwładnie nad pełnym kieliszkiem – wstań i pomóż mi! Przecież kuchy nie ma!

Nie ruszył się i mamrotał dalej. Postawiła przed nim z trzaskiem tacę pełną brudnych sztućców i wtedy usłyszała:

– Boli, tu boli... Nie, nie rusz... Boli... Hałas... Daj spokój.

– Gdzie boli? – krzyknęła zniecierpliwiona, bo jeszcze nie wierzyła. Kiedy dotknął ręką mostka, zrozumiała, że to się jednak stało. Właściwie musiało się stać.

Miał zaledwie pięćdziesiąt kilka lat, ale już bał się młodych. Znali języki, umieli się ubrać tak, że nie różnili się od tamtych, za granicą. Może wiedzieli nie więcej od niego. Na razie. Czas pracował na ich korzyść. Zdzisław bał się. Więc harował. Coraz zajadlej, coraz więcej.

Numer pogotowia był zajęty. Zbiegła do garażu, wyprowadziła samochód. Na górze mąż siedział oparty czołem o stół. Z wywróconego kieliszka przezroczyste krople spadały na pąsowy dywan.

Z trudem sprowadziła go na dół. Ostry dyżur miał szpital na Kociej. Rudy, pękaty doktorek przecierał dłonią zaspane oczy. Oprzytomniał, zbadał.

– Mąż zostaje – powiedział i nacisnął jakiś guziczek. – Proszę mu przynieść potrzebne rzeczy. Łóżko na R-ce – rzucił w brzęczący mikrofonik. – Niech pani się nie martwi. Wszystko będzie dobrze.

* * *

Wjechała na górę za jeden uśmiech i 50 zł. Obok windy wisiał napis „Tylko dla chorych i personelu”. Stała w drzwiach i chciała spytać, gdzie jest R-ka, kiedy wzrok jej padł na łóżko w korytarzu. Obok ubikacji. Chory był odkryty. Zobaczyła znajome francuskie kalesonki w zielone kropeczki.

Zdrętwiała ze zgrozy. Wokół słychać było krzyki, brzękanie basenami, wrzask jakiejś, skręcającej się z bólu, kobiety. Nad Zdzisławem pochylał się lekarz, mówił coś, czego prawdopodobnie w tym hałasie nie słyszał ani Zdzisiek, ani on sam. Przez korytarz szła salowa z wiadrem i rozchlapывała szmatą na kiju mokre błoto po całej podłodze. Halina odzyskała głos.

Rzuciła torby na mężowskie łóżko i zawołała:

– To są warunki do leczenia chorych na serce? Mąż miał być na R-ce! Nie liczycie się z ludzkim życiem! Ja wiem! Ale jak mąż tu umrze, to pan będzie za to siedział – lekarz wyprostował się, zsunął słuchawki. Patrzył z góry na jej furię spokojnymi, szarymi oczami.

– Ja na to nie pozwolę! On musi leżeć w sali – wrzasnęła jeszcze głośniejszym głosem, bo drażnił ją zarówno jego spokój jak i to, że musiała mocno zadzierać głowę żeby spojrzeć w twarz mężczyźnie, z którym postanowiła wygrać. Wiedziała, że z pozycji wróbelka, zwycięstwo staje się problematyczne.

– Stan pani męża nie wymagał, naszym zdaniem, dłuższego pobytu na reanimacji – przemówił wreszcie. Głos miał równie spokojny, jak oczy. Niski, łagodny, ale było w nim tyle chłodu, że wykluczał zarówno wszelką poufałość, jak i nadmierną ekspresję. Halina przystopowała i zaczęła z innej beczki.

– Panie doktorze – rzekła z godnością – nie żądałabym przeniesienia, gdyby mąż był zwykłym, szarym człowiekiem. On zajmuje wysokie stanowisko w handlu zagranicznym. To teraz takie ważne w tym kryzysie! – westchnęła. – Mam nadzieję, że weźmie pan pod uwagę moją informację i po południu spodziewam się już zostać męża na sali – powiedziała to jak dama do dżentelmena, ale lekarz bynajmniej nie okazał się dżentelmenem. Przynajmniej w jej pojęciu.

– W naszym szpitalu jest taki zwyczaj, że w miarę odchodzenia chorych z sali, wprowadza się tam pacjentów z korytarza. Pani mąż ma szansę przenieść się do sali za 2-3 dni.

– Tak pan uważa? – uśmiechnęła się ironicznie. – Postaram się, żeby pan zmienił zdanie.

* * *

– Możesz teraz u mnie zamieszkać. Zdzisław się z tego szybko nie wyliże. To zawał! Oni twierdzą, że nie, że złapany w porę, ale czy ja wiem? Znasz te metody – wszystko jest dobrze, tylko pacjent umarł. Jeszcze do tego lekarz cham, że nie daj Boże. Ale ja go nauczę grzeczności! Który chcesz pokój? Służbówka ci wystarczy? – Marta skinęła głową. Mogła się tego spodziewać po swojej dobrze ustawionej siostrze, której przytulne mieszkanie składało się z trzech dużych pokoi i sporej kuchni. Przy niej była maleńka służbóweczka: 3 x 3 m.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że nikt jej nie wyrzuci jeśli zechce usiąść przed kolorowym telewizorem w 27-metrowym salonie, że będzie mogła zagrzać swój garnuszek kawy w lśniącej peweksowską glazurą kuchni, i że w ogóle wszystko – jak powiedziała Halina – jest do jej dyspozycji. Mimo to propozycja zabolęła. Zostawiła zadrę. Gdyby Halina miała tyle taktu, żeby pozostać przy pytaniu „który chcesz pokój” wtedy być może Marta powiedziałaby łaskawie „wystarczy mi służbówka”. Ale być może powiedziałaby zupełnie co innego...

Wynajmowała dotąd podobną klitkę, „przy rodzinie” i jako samotna, była ostatnia w kolejce po mieszkanie. Rodzina miała tatę pijaka, mamę brudasa i dwoje niezbyt rozgarniętych ale za to bardzo złośliwych dzieciaków. Siostra, zapraszając Martę do swego domu, robiła jej prawdziwą łaskę. Niestety nie zamierzała przesadzać w swojej łaskawości. Nie chciała uczynić tego jednego gestu, który za parę tygodni, zrobiłby je równymi sobie.

– Będzie mi z tobą rażniej. Czuję się bardzo samotna. A tobie chyba też lepiej tu, niż u Lepiańskich? Czy oni nadal nie myją wanny?

– Daj spokój! – machnęła ręką Marta. – Oni nigdy niczego nie myją, nie sprzątają. Już dawno postanowiłam sobie znaleźć coś innego. Jakiś kulturalny dom.

– Dobrze, przywieź rzeczy, rozgość się i masz czas na szukanie. Rozumiesz, w służbówce nie trzeba niczego zmieniać, jest pusto. Ułożysz sobie wszystko według własnego gustu. Ja zaraz biegnę do szpitala. Jak myślisz? Ile mu dać?

– Komu?

– Oj, głupia jesteś! Lekarzowi przecież. Jeśli ten drętwy będzie go leczył, trzeba będzie chyba władować w niego sporo. Żeby spojrział raz po ludzku. Może wsadzić mu parę zielonych? Co?... Nie, bez przesady! Na „dolce” musi zasłużyć. Wsadzę mu na początek piątkę. Wystarczy?

– Nie wiem. Jak uważasz.

– Bzdura! Pięć dają dziady. Wrzucę mu dychę, żeby wiedział z kim ma do czynienia.

* * *

Zdzisław Ślaski z trudem otworzył oczy. Były jakby zlepione. Ale ktoś coś do niego mówił. Zobaczył nad sobą twarz chudej staruszki, której oczka błyszczały ciekawością. Gdyby wiedział, że to nie lekarz, udałby że śpi.

– To córka była? Ładna kobieta! – mężczyzna milczał. – A jeść panu przyniosła? Bo tu takie wszystko dają pomiędlone, proszę pana. Takie, wie pan, papkowate. A ja jeszcze mam dużo zębów własnych, to bym sobie coś pogryzła – kłapnęła szczękami. – A pan nie? – Zdzisław odwrócił się plecami. Poczul ból. Znieruchomiał. – Niech pan powie, żeby córka panu coś porządnego przyniosła. Schabowy albo wątróbkę z cebulą.

– To nie żadna córka! To żona – wrzasnął wyprowadzony z równowagi, ale ten wrzask okazał się tylko ochryplym skrzekiem. Staruszce wystarczyło – uśmiechnęła się pad nosem. Czuła się wygrana – pan w zagranicznej piżamie przemówił.

– Śliczna! Pan musi być bogaty, jak pan takiej może dogodzić. Willę pan ma?

– Nie! – warknął widząc, że się jej nie pozbędzie. – Mieszkam ...w zwykłym... kwaterunkowym miesz...kaniu... – mówił z trudem, ale staruszki to najwyraźniej wcale nie zniechęcało.

– Kwaterunkowe, pan mówi... Ciekawe!... Ile pan płaci miesięcznie za komorne? Ćwierć tego co kosztowała ta piżama? Czy połowę?

– Nie wiem... piżamę dostałem w prezencie... Własnych zmartwień pani nie ma?

– Och, tego to ja mam! – staruszka siadła na przeciwległym łóżku bujając w powietrzu krótkimi nóżkami obutymi w niciane paputki. – Dlatego lubię porozmawiać z tymi, co nie mają.

– Też się pani wybrała! – burknął Zdzisław.

– A co panu brakuje? Niestary pan jeszcze, żonkę ma o 20 lat młodszą, ale jaką staranną! Troszczy się o pana. Widać dużo pan dla niej wart...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI